

Adam Wiaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

7 — Do widzenia! A pamiętaj, Janiu, przyjdź punktualnie na obiad!

— Dobrze, mam.

Kiedy Janka wyszła, Ludwik zwrócił się do matki:

— Jak się ta Janka zmieniła!

— O! tak, zmieniła się istotnie. W każdej rzeczy chce mieć własne zdanie i wypowiada je bez ogródki. A swoją wolę umie przeprowadzić! Ot, z tem gimnazjum... Postanowiła sobie, przygotowała się sama, zdała egzamin, no i musiałam ustąpić... Ale, widzisz, poza tym jej uporem i pewną szorstkością, niepodobna jej nie zarzucić... To takie zacne, szlachetne, pracowite dziecko! Nie tylko, że uczy się doskonale, ale jeszcze lekcyjami zarabia na swoje wydatki, a jak tylko znajdzie wolną chwilę, pomaga mi w domu. Podczas wakacji zajmuje się ochroną dla sierót po poległych żołnierzach.

Ludwik spuścił głowę. Przypomniał sobie, ile to trosk, kłopotów, pieniędzy, kosztowało matkę jego wykształcenie...

— Jakże to z innymi dziewczętami w tym wieku bywają kłopoty — ciągnęła dalej pani Rażycka. — Rozmaite pierwsze miłości, flirty ze studentami, tajemnice, listy... a u niej ani śladu tego. O stroje nie dba — powiem nawet, że mało troszczy się o swoją powierzchowność i to mnie trochę martwi...

— O to ostatnie najmniejszy kłopot — wtrącił Ludwik. — Kokieteryja przyjdzie sama z siebie, skoro tylko obudzi się kobieta... A Janka będzie ładna, mówię mamie, a ja się przecież znam na tem... No z tego, co mamusia mówi, to widzę, że niema się czem martwić... Ta szorstkość jakoś się utrzuje... a dziewczyna ma charakter — to dobrze! Mnie to właśnie silnej woli brakowało zawsze i brakuje...

— Ja też, Ludwisiu, nie o Jance chciałam z tobą pomówić... Wiesz, przyszedł mi do głowy jeden pomysł... Anielka Walczakowa dwukrotnie już cię zapraszała. A gdybyś tak pojechał do Zalesinek na jakiś czas...

Oczy Ludwika rozjaśniły się, ożywiły.

— Doskonały pomysł, wysmienity! Uf! sprzykrzył mi się już Kraków, knajpki, koledzy... Wiesz, spacer, inne otoczenie... Pyszna rzecz! Pojadę mam, pojadę! Lekarz także wspominał, że powinienem wyjechać na świeże powietrze, a mają mnie wysłać do jakiej Krynicy, albo innej Rabki, to wolę do Zalesinek...

— „Jak jemu łatwo odemnie odjechać“ — przemknęła pani Rażyckiej myśl, ale to był tylko chwilowy poryw egoizmu, który zniknął jak mgła pod słońcem ofiarnej bezinteresownej macierzyńskiej miłości. Wszak ta matka żyła tylko dla szczęścia i dobra swych dzieci.

— A mamusieczce nie żal wysłać swojego trzpiota? — zagadnął z uśmiechem syn.

— Sądę, że trzpiotowi będzie w Zalesinkach dobrze, więc muszę sobie tutaj jakoś poradzić bez niego... A zresztą...

— A zresztą, co, mateczko? Tak się mateczka dziwnie popatrzyła na mnie...

— Widzisz — zaczęła pani Rażycka wahającym tonem — oprócz twego zdrowia jest jeszcze jeden wzgląd, dla czego chciałabym, abys wyjechał...

— O! Ciekawy jestem! O cóż to chodzi?

— O to, Ludwisiu...

Pani Rażycka wskazała na wazon z tuberozami, wędzące obok w gustownym koszu piękne herbariane róże...

— A cóż te kwiaty mateczce szkodzą? — zdziwił się Ludwik.

— Moje dziecko, czyś ty się nie zastanawiał nad tem, kto te bezimienne podarunki przysyłać może?

— A wie mama, że nie mam zielonego pojęcia i w tem właśnie leży cały urok! Czy ja wiem, kto... Może jedna jakaś wielbicielek, może ich jest więcej... No, mateczka przecież wie, że syn trzpiot ma szczęście do kobiet...

Roześmiał się swobodnym dzwicznym śmiechem młodości, zadowolonej ze siebie i pewnej swego czaru.

— Ja jednak sądę, że to tylko jedna — rzekła matka, nie odwracając oczu od tuberozy, strojnej przepychem śnieżno-białego kwiecia.

— Tak mateczka sądzi? I mnie się to samo wydaje! W tem tylko sęk, która to ta jedna?

Przebiegłem już myślą wszystkie moje znajome i nieznajome i ani rusz nie mogę odgadnąć.

Ludwik usiadł przy stole i zabierał się do ostygłej już kawy. Nie smakowała mu jednak stanowczo. Odsunął filiżankę i zapalił papierosa.

— Ja, moje dziecko, domyślałam się...

Syn spojrzał z ciekawością.

— Co?! Mama miałaby być domyslniejszą w tym wypadku, aniżeli ja?!

— Może ty nie umiesz patrzeć, ale ja mam oczy matki i instynkt kobiety, a te rzadko zawodzą...

— No, ciekawym doprawdy, kogo też mama ma na myśli?

Pani Rażycka zaważała się przez chwilę.

— Właściwie nie powinnam przez solidarność kobiecą zdradzać tajemnicy, której się domyślałam... Sądę wszakże, że lepiej będzie, abys wiedział...

— O, jak mateczka tajemniczo zaczyna! Zamieniam się cały w słuch i uwagę...

— Prawdopodobnie będziesz mocno rozczarowany. Otóż, Ludwisiu, powiedz mi, czyś ty się nigdy nie zastanowił nad tem, dlaczego Kornelia Witowtówna przylgnęła tak do nas... a właściwie... do ciebie...

— Cooo?!

Ludwik, zdumiony, skoczył na równe nogi. Gwałtownym ruchem odrzucił papierosa.

— Co?! Mateczka nie przypuszcza chyba, że... Nie! To w istocie pyszne!... Kornelia Witowtówna i te kwiaty!... Co za pomysł! Oj! Mam, mam!... Ha! ha! ha!

Pokój napętnił się przeciągłą gamą swobodnego, wesołego śmiechu.

— Ludwisiu — odezwała się pani Rażycka z pewną surowością, z jaką nie przemawiała nigdy dotychczas do syna — nie bądź tak płytkim i lekkomyślnym... Więc tobie się zdaje, że kobieta brzydka, jak Kornelia, nie ma serca i kochać nie może li tylko dlatego, że mężczyźni przechodzą koło niej obojętnie... Jeżeli tak myślisz, to mylisz się bardzo. Taka kobieta właśnie może kochać silniej i głębiej niż inna najpiękniejsza choćby, bo nie ma codziennej sposobności, by rozmięknąć złoto uczucia na zdawkową monetę flirtu i kokieteryi... I dlatego boję się...

— Ależ, mateczka usnuła sobie w wyobraźni historię romantyczno-tragiczną a najzupełniej nieprawdopodobną... Pocziwa Kornelia z jej usposobieniem! Doprawdy, mam, pomijając już jej wyjątkową brzydotę, chociaż powiem szczerze, że trudno to pominąć, niepodobna Witowtówny posadzać o jakieś miłosne bujanie, a tem mniej o jakąś ukrytą tragiczną miłość... Toż ona śmieje się zawsze, czy potrzeba, czy nie potrzeba...

Śmiał się znowu, ale w śmiechu jego dzwicało już trochę irytacji.

— Moje dziecko, cieszy mnie, że nie znasz i obys nigdy nie zaznał tego najgorszego ze wszystkich cierpienia i płaczu przy suchych oczach i śmiejących się ustach... Wierząc mi, że nie zawsze ten, kto się śmieje, jest wesoły... Właśnie ten wieczny śmiech i ta nieprzerwana wesołość Kornelii zdradzają mi dużo i wiele mówią...

— Ależ, mam — usiłował bronić syn uroku swojej „nieznanej“ — mnie się zdaje, że ona pieniądze na to nie ma, aby podobnie kosztowne rzeczy kupować...

— Otóż, to właśnie... Kiedy Kornelia była u nas, zauważyłam, że ma buciki podarte i suknię w kilku miejscach pocerowaną... Ona taka oszczędna i porządna. Pani Łuskowska mówiła mi kiedyś, że Witowtówna od kilku tygodni przestała u niej jadać obiady... Ta dziewczyna głodzi się, odmawia sobie najniezbędniejszych rzeczy, chociaż, jak na swoje skromne wymagania, zarabia sporo... Więc... wniosek jasny... Trzeba to przerwać!... Koniecznie... Jak najprędzej przerwać...

Ludwik chodził po pokoju nerwowym, szybkim krokiem...

Buł zły, rozczarowany... Usłużna, pokorna przyjaźń Witowtówny była mu wygodną i przydatną, miłość jej mogła stać się gniotącym ciężarem.

— Więc cóż ja mam zrobić wedle zdania mamy? Powiedzieć jej?... Czy jak?...

— Ależ, nigdy w świecie — zawołała żywo pani Rażycka — zachowaj cię Boże, abys jedną kroplę upokorzenia miał dolać do tej czary goryczy, którą biedna dziewczyna codziennie wypijać musi... Jeżeli ją spotkasz, nie zdradź się ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem, że się czegokolwiek domyślasz. Postaraj się o pozwolenie twojej władzy i wyjedź, jak tylko będziesz mógł najprędzej... do Zalesinek... bez pożegnania...

Ludwik kręcił głową powątpiewająco... Nie miał ochoty wierzyć w to, co mu matka mówiła... Z dziecięcym uporem bronił się przed rozczarowaniem, które niemile dotykało jego próżność męską...

— Kiedy ja jestem pewny, że mateczka się myli. No, zobaczy mama!...

— Trudno mi cię przekonać dowodnie... Ale do Zalesinek pojedziesz?

— To, jak najchętniej... Zaraz, skoro tylko dostanę urlop. Sądę, że kłopotów z tem nie będzie, bo chyba oni tam w Zalesinkach mają gdzieś blisko lekarza...

— Naturalnie. Przecież mąż Anielki pozostaje także jeszcze pod opieką lekarską.

Ludwik przeciągnął ręką po czole.

— O, jak mnie też strasznie głowa boli... Wyjdę na miasto, żeby się trochę orzeźwić.

Ziewnął mimowolnie.

— O! Przepraszam mateczkę, ale taki jestem rozklekotany...

— Oj! Na wieś by ci, na wieś jak najprędzej...

Pani Rażycka ucałowała syna, który się chylił do jej ręki, w czoło. Ogarnęła wzrokiem bezmiernej miłości ukochaną głowę...

— Moje szczęście... moje wszystko... mój synus najdroższy...

Ludwik wyszedł z domu z silnym bólem głowy — pozostałością wczorajszej zabawy i z niemiłym zderzeniem, wywołanym przypuszczeniami matki.

Mimowoli musiał myśleć o istocie tak mało zajmującej, jak Kornelia Witowtówna.

Przesuwały mu się przez myśl pewne drobne fakty, rozmaite charakterystyczne szczegóły.

— A kto wie... może... a to waryatka...

Wstąpił do „handelku“, aby wypić kieliszek wódki. Chciał wybić „klin klinem“, pokonać niesmak i znudzenie, które go coraz silniej ogarniały. Srodek ten nie okazał się jednak skutecznym. Wódka mu nie smakowała, więc poprzestał na jednym kieliszku.

Przy bufecie spotkał się ze znajomym oficerem i zamienił z nim kilka słów, ale rozmowa go męczyła, pożegnał go więc prędko i wyszedł na ulicę.

Było mu duszno. Chciał odetchnąć świeższym powietrzem poza miastem. Postanowił pojechać tramwajem do Parku Jordana. Zatrzymał się na przystanku i czekał na tramwaj, który, zwyczajem wszystkich poważnych, sennych tramwajów krakowskich, nie spieszył się.

Nagle twarz Ludwika drgnęła zainteresowaniem.

Tuż obok niego przesunęła się Hela Lidzińska, bledsza i smutniejsza, niż zwykle, promieniąca jednak urokiem swych gwiazdzistych oczu.

Rażycki, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co czyni, przyłożył rękę do czapki.

Panna odkloniła się i uśmiechnęła się leciutko.

Jakaś tajemnicza siła sympatyj przebiegła pomiędzy nimi prądem magnetycznym. Trwało to krótką chwilę. Hela zniknęła wśród zieleni plant, a Ludwik pozostał na miejscu.

Nadjechał tramwaj. Rażycki wsiadł do wozu, w którym było zaledwie kilka osób, jak zwykle o tej porze, kiedy urzędnicy są w biurach, kupcy w sklepach, gospodynie przy kuchni, dzieci w szkole — każdy przy swoim zajęciu.

Na najbliższym przystanku wsiadło młode dziewczę z książkami w paskach. Dwa grube bicze jasnych warkoczy opadały na skromną, ciemno-granatową sukienkę.

Panienka była zadyszana i twarzyczkę miała silnie zaróżowioną, widocznie od szybkiego chodu. Niebieskie, śmiejące się, swawolne oczy zmacone były teraz trochę wyrazem jakiejś niepewności i rzucały wokoło nieśmiało, trwożliwe spojrzenia.

Usiadła w kątku, wtuliła się niemal w róg przedziału, jak gdyby chciała być jak najmniej widziana.

Tramwaj sunął dalej i po chwili zatrzymał się znowu. Teraz wsiadł gimnazjalista, długi, chudy ze ściągłą, nerwową twarzą. Rękawy jego wytartego nieco munduru były już stanowczo dla niego za krótkie.

Zrenice chłopca i panienki rozblęły. Przywitali się krótkim uściskiem ręki i długim spojrzeniem.

Gimnazjalista usiadł naprzeciw dziewczęcia. Nie mówili nic do siebie, ale porozumiewali się rozpromienionymi oczyma.

Ludwik uśmiechnął się. Nietrudno mu było odgadnąć treść tej uczniowskiej sielanki.

Młoda parka zdobyła się na ryzykowny krok wyrwania się „za labę“ i wbrew zakazom „starych“ i rozporządzeniom „belfrów“ dążyła na wspólny spacer do parku.

Rażycki spoglądał na nich z rozrzwieniem i pewną zazdrością, że oto przeżywają oni najcudniejsze chwile, które są dopiero przeczuciem miłości, rojeniem o niej — kiedy wszystko, co brzydkie, złe, brudne, tonie w różowych osłonkach marzenia, w czystości pierwszego kochania, w nieświadomości mętów życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).